1. Grudnia. Nr. 34. Rok 1861.

Czytelnia dla młodzieży.

Wychodzi we Lwowie każdego 1. 11. i 21. Bióro redakcyi przy ulicy Dominikanskiej Nr. 169. — Prenumeratę miejscową przyjmuje księgarnia K. Jabłońskiego. - Reklamy wolne są od opłaty.

Cena prenumeraty: w miejscu rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., ćwierćrocznie 1 zł. — Z przesyłką pocztową rocznie 4 zł. 40 cnt. półrocznie 2 zł. 20 cnt. ćwierćrocznie 1 zł. 10 cnt. wal. austr.

Kilka myśli.

Zorza przyszłej nowej idey świtać zaczyna na niebie dotąd mglistem i chmurnem, a naród budzi się ze snu powszechnego, powstaje z letargu krępującego bezwładnością i na dziedzinie zapomnienia zakwita życie wiary i nadziei. Wszyscy dążymy w tę stronę, zkąd światło pierwsze promienie rzuca, strącamy z siebie skorupę egoizmu i kąpiemy się w promieniach zapału z brudów nieczynności i apatyi. Serca objęte ogniem poświęcenia pałają żądzą iść na stos ofiarny, umysły olśnione blaskiem tej nowej idey, składają jej hołd uwielbienia. Wspólność uczuć i zapału, tożsamość myśli i celu; jednoczą wszystkich w jedną zgodną całość, a osobiste nienawiści i urazy wyrzucają na śmiecisko dawnych grzechów. Przy wielkości chwili i wzniosłości celu, pojedyńczych jednostek widoki zmaleć i w nicość zamienić się muszą. Padają dawne przesądy i uprzedzenia, wszystkie narodowe zasoby skupiają się, wszystkie siły natężają, ażeby rozbić przeszkody i dosięgnąć owego słońca jasności. Wszyscy bez wyjątku gromadzimy się pod sztandarem miłości bratniej, wolności i postępu.

Takie chwile chociaż z pozoru nacechowane gorączką, obalają jednakże w gruzy potrzaskane, chylące się do upadku budowy, rozsypują w proch wszystko co strupieszałem i przestarzałem było; a wznosząc nowe silne i wspaniałe gmachy, rodzą nowe i zdrowe życie. Takie chwile, w których wszyscy elektrycznym prądem wzruszeni, z gwałtownością żądają życia, są porodem nowej idey do urzeczywistnienia powołanej, początkiem nowej epoki w rozwoju narodu. Chwile owe porównać można do burz, które hukiem i ogniem piorunów i blaskiem błyskawic niszczą zepsute cząstki powietrza, strumieniami deszczu spłókują kurz i pył, i rodząc w całej przyrodzie czynną świeżość, dostarczają jej nowych pierwiastków do życia. Lecz tak chwila upadku starych i zgrzybiałych zasad jak i chwila porodu lub burzy, musi być i jest bardzo krótką — bo jest tylko wstępem do nowego porządku. Cicha i ciągła praca, wolny lecz stały postęp, to zwykły porządek rzeczy. On też jedynie przysposabia materyały, rozwija ideje, tworzy siły, wydaje owoce. Burza w życiu narodów działa tylko na podstawie przez przeszłość zbudowanej, to jest przybiera większe lub mniejsze rozmiary, przeprowadza z większym lub mniejszym skutkiem ideje, podług większej lub mniejszej ilości nagromadzonych materyałów, czyli żywi się tem i wyczerpuje to, co wytrwała praca wprzódy przygotowała. Burza taka objawia światu i rozwija przed jego oczami to, co już istniało, zdumiewa i olśniewa tem, co już w skrytości przedtem błyszczało. Ogień więc i zapał chwilowy, to burzliwe żywioły w gorączkowy ruch wszystko popychające; po wprowadzeniu w życie płodu pracy, winny się zamienić znów na stalową i hartowną wytrwałość, na cichą i powolną pracę. Bo biada narodowi, który wszystek ogień spali, wszystkie źródła materyalnej i moralnej siły wyczerpnie, wszystkie zapasy zużyje, a nic nie przysposobi, nic nie przygotuje na przyszłość! Wywróci on bowiem dawną budowę lecz nowej wznieść nie będzie umiał, skruszy stare zasady, a nowych rozwinąć nie będzie w stanie. Lecz większe jeszcze nieszczęście grozi narodowi niezaopatrzonemu w dostateczną ilość zapasów, nie przygotowanemu w potrzebną ilość materyałów, a rozpalającemu ogień, rzucającemu się z zarozumiałością w wiry i odmęty burzy, spieszącemu ku owej stanowczej chwili. Bo wtedy zmęczony w nierównej walce pada omdlony, traci wszystkie siły, i śmierć lub stan bezwładności czucie mu jedynie zostawiającej, staje się jego udziałem.

I fałszywe widmo przybiera niekiedy postać zorzy zarania. Lecz cierpiącemu, zostającemu w ciągłej niepewności, oczekującemu wybawienia, i błędny ognik prawdziwem światłem zdawać się może. Spieszy więc ku niemu, ale tylko czerwony płomyk rozpaczy i woń zgnilizny znajduje. Czasem i gwiazdka przybywająca tylko oświecić go, ożywić i wytknąć kierunek, otacza się zwodniczemi pozorami stanowczej chwili. Zapał łatwy do przesady rodzi niestety bardzo często marzenia, i idealizuje obecność. Nie dosyć więc, że wszyscy w swej wyobraźni tworzą słońce z owej gwiazdki, ale i z krainy marzeń usiłują go w rzeczywistość wprowadzić. Życie spłodzone przez wyidealizowane wyobrażenia, karmione przesadzonym zapałem, nosi w sobie samem zaród śmierci. Bo po przekonaniu się o fałszu i bezzasadności swych urojeń, na widok nagiej prawdy, nadzieja i wiara opuszczają wszystkich. Nadziei iskierka na płomień rozdmuchana, więcej nie mogąc być podsycaną zagasnąć musi, a wiara swe miejsce ustępuje zwątpieniu. Widok tyle próżnych męczeńskich czynów, tyle bezskutecznie spalonych ofiar oddala z serc miłość i poświęcenie — egoizm i poniżenie to ich następcy. Zamknięcie się w skorupie ślimaczej, apatya, pleśń zapomnienia po czynności i wylaniu się dla wszystkich, nawet shańbienie w upadku po czynach wielko-

ścią i wzniosłością świat zdumiewających, są owocami zwątpienia. Zwątpienie też jest z pewnością powolnem samobójstwem. Bezwładny daje się z łatwością krajać, dzielić, wynarodawiać, sam nawet bezmyślnie idzie pod noże, błagając nieprzyjaciół o odebranie resztki życia. Wtedy to następuje śmierć moralna — sen w demoralizacyi i zepsuciu, upadek tak ducha jak i sił materyalnych. Dusza narodu odepchnięta, pogardzona od ogółu, chroni się pod opiekę jednostek, które ją pielęgnują i żywią, i które są owymi prorokami wołającymi na puszczy i oczekującymi ocknięcia. Lecz jakże ocknięcie jest okropne! Zdeptany i do ziemi przybity chce się podnieść, ale tego uczynić nie ma sił, męczony i prześladowany zaledwie jękiem ból swój okazać jest w możności; pogardzony, piętno poniżenia tylko nowem poświęceniem zmazać jest w stanie. A może w onczas gdy życie tego narodu będzie jeszcze niepewne, siły niewyrobione, ruchy słabe, już prawdziwe światło świat cały opromieni!..... I wszyscy z niego korzystać będą, a on jeden nawet pokusić się o to nie będzie mógł, bo za chwilę zwątpienia długa pokuta go czeka.

Naród polski więcej może niż inny liczy w przeszłości swej chwil zapału powszechnego, w których wszyscy z chęcią przelania krwi swej biegli na ratunek Ojczyzny, lecz i więcej też chwil apatyi lub zwątpienia. Ileż to razy sąsiedni wrogowie pustoszyli naszą krainę siejąc śmierć i zniszczenie, a cały naród w dziwnej bezczynności i odrętwieniu zostawał! Ileż to razy płacz i krzyki rozpaczy w plon uwożonych, jęki konających mieszały się z wesołym wrzaskiem na sejmie, z radości śpiewami na ustach, a światło pochodni balowych ćmiło dalekie łuny wsi i miast! Nagle słowo „Ojczyzna w niebezpieczeństwie“ przebiega kraj cały tak pałace panów, jak i dworki szlacheckie. Wici zapalone rozniecają żądzę pomocy nieszczęśliwym, zemsty na wrogów i ratunku Ojczyzny. — I cóż jednomyślności uczuć, takiej ilości woli w jednym działających kierunku oprzeć się jest w stanie? Złamanie nieprzyjacielskich szeregów, odebranie zdobyczy, uwolnienie Ojczyzny z niebezpieczeństwa — oto dzieła krótkiego czasu. Lecz zapał powoli opuszcza wszystkich, apatya powraca, a wróg nowych sił nabrawszy szerzy dalej dzieło zniszczenia, zabiera najpiękniejsze ziemie. Tak to zwycięztwa Połowiec, Grunwaldu, Kirchholmu, Chocimia i t. p. wskutek braku stałej woli w przedsięwzięciach nie przynosiły korzyści możebnych. Trudno tu szczegółowo wyliczać wszystkie straty i szkody, jakie ponosiła Polska dawniej przez bezczynność i niewytrwałość, a potem przez zwątpienie; bo one większą część naszej przeszłości wypełniają. A przecież historya polska to ciąg zapasów o byt, o istnienie narodu! Chociaż, czy to pojedyńczy człowiek, czy naród, w ciągłej walce wyrabia sobie hartowną i silną wolę; to jednakże naród polski w zapasach z nieprzyjaciołmi, od kołyski aż do upadku na byt jego czyhającymi, tego przymiotu nabyć nie mógł. Dopokąd naród był silny i zdrowy wewnątrz, to i krótkie chwile zapału wystarczały do odporu napastników i wniesienia potęgi i wielkości; lecz niewytrwałość już wtedy przygotowała późniejszą ruinę. — Konfederacya Tyszowiecka zdolna jeszcze była wstrzymać upadek, pokonać nieprzyjaciół, i byt polityczny narodowi na wiek jeden przeszło zapewnić. Lecz konfederacya Barska i powstanie Kościuszkowskie nie mogły już dosyć sił zebrać, by skołataną budowę Polski podtrzymać. — Naród który tyle cierpiał, tyle krwi wylał, tylu męczennikami za ideję narodu, tylu rycerzami światło wolności głoszącemi szczyci się, czyż pracą stałą i wytrwałą nad dziełem odbudowanie dotąd pochwalić się może? Bo ten zapał, który wiódł na pola bitwy cały naród, pobudzał do wszelkich ofiar, towarzyszył wygnańcom i więźniom, był zawsze tylko chwilowy i zawsze przez zwątpienie zastąpiony. Historya tego życia jest zaiste poematem nadziei i zwątpienia, wiary i rozpaczy, poświęcenia i bohaterskich czynów, egoizmu i spodlenia. A i tak chwila chluby naszej przedmiotem będąca jak i ta, od której ze wstrętem odwracamy oczy, była zarówno dogodną do spełnienia nam nieprzyjaznych zamiarów, bo wytrwałości, bo stałości niebyło.

Przeszłość winna być nauką przyszłości. Czyż ten sztandar nadziei wszystkich nas łączący, miałby krótki tylko przeciąg czasu powiewać? Czyż życie ojców i zastanowienie się nad przeszłością nie powinno w synach wytrwałości i stałości wyrobić? Czyżby po tylu naukach zawód może przesadzonych nadziei miał zrodzić jeszcze raz zwątpienie? Młodzież polska jest pochopną do zapału, cnót i poświecenia, lecz łatwą do przyjęcia przesadzonych wyobrażeń i karmienia urojonych mrzonek. Choroba zwątpienia jej więc najprędzej grozić może. Młodzież ważne w narodzie zajmując stanowisko, jak zdolną jest szeroko rozpalić ogień życia, tak jest i wstanie wszystko na około zarazić zwątpieniem. Na młodzieży ciąży obecnie wielki obowiązek strzedz się owej choroby, a wyrabiać w sobie wytrwałość i stałość. Lecz kto się chce strzedz zwątpienia, niech się obawia marzeń w rzeczywistość wprowadzać, niech pozna wszystkie nieprzełamane trudności i przeszkody jakie to co serce podaje, a fantazya młodzieńcza wułudne kształty odziewa i ubarwia, w uskutecznieniu napotkać może. Kto zaś chce nauczyć się marzenia od rzeczywistości odróżniać ten winien ją zbadać i zgłębić. Poznanie więc społeczeństwa w którem żyjemy i położenia w jakiem się ono obecnie znajduje, roztrząśnięcie wszystkich szczegółów i okoliczności, usilne staranie się wyrobienia sobie nieprzesadzonego sądu i zapatrywania się na nie, zbadanie dokładne siebie swoich wad i przymiotów, wyprowadzanie na ostatek nauki na przyszłość z przeszłości, — to jeden z najważniejszych obecnych młodzieży polskiej obowiązków.

C. H. M.

Wrocław dnia 19. Listopada 1861.

Urywek zaczętego poematu **H. Jabłońskiego**, przypadkiem znaleziony.*)

Na kwietne łąki, na szerokie łany
Z po za drzew ledwie mrugał świt rumiany,
Słowiki kończą północne piosenki.

O biedna ziemio! nim ranek zawita,
Kwiaty twe dziczy stratują kopyta,
Śpiewaków leśnych spłoszą ludu jęki.

(* Wiersz ten pisanym był w 1849 albo 50 roku.

Jak zajrzy oko, z Nogaju — od Krymu
Gościńcem kurzą czarne chmury dymu
I kraśne łuny znaczą siół pożary;
Strażnice płoną, lamentują dzwony,
A straszne krzyki biją z każdej strony:
— Do broni! — na gwałt — Tatary! — Tatary! —
Po lasach gwarno, kwilą małe dziatki,
Dziewice płaczą, w głos zawodzą matki, —
Czasem zabrzękną, zamigocą kosy.

Poranek świta pełen krasy, woni,
Nad złotym plonem śpiew skowronka dzwoni,
Doliną igra jasna tęcza rosy, —
A wiatr wiosenny pieszczotliwy, cichy
Szemrze po trawach, muska róż kielichy,
Mrugają falą jasne stawów tonie.

O biedna ziemio, ziemio ma rodzinna!
Pięknością słynna i klęskami słynna!
Kiedyż wesoły tobie śpiew zadzwonię?...

Kiedy ci ranna jutrzenka zawita
Swobodna, cicha i łzami nie zmyta,
Dzień jeden minie bez bolu?

Kiedy te gęśle z złotemi strunami
Zabrzmią radośnie, zagrają gromami,
Gdzieś — pod namiotem — na polu?..

Dziś śkiewak jam smutny, z mą gęślą tułaczą,
Wykwilam w żałobie, bo bracia w krąg płaczą,
Wykwilam, bo kraj mój boleje.

Ot, idę stęskniony w dalekie pustkowie
Zapytać się mogił, jak żyli ojcowie,
Zaśpiewam...
Lecz dawne to dzieje.

Margrabia Gero,

(z Tygodnika Polskiego, Lwów 1849.)

Kilka wieków temu, cała przestrzeń ziemi od Wisły aż do Elby, od Warszawy aż do Hamburga, tworzyła jedną ojczyznę, była zamieszkaną wielkim jednego plemienia ludem, zwanym niekiedy lechickim. Nie ręka ludzka, nie polityka zaborcza, ale sama natura rozczłonkowała tę ogromną całość w pomniejsze grona. Gdzie pośród leśnych przestworz kilkudziesięcio-milową doliną ciecze rzeka, tam ludność słowiańska gęstszemi wzdłuż wody zagnieździwszy się osadami, zrosła się w niby odrębny lud mniejszy, w odrębną krainę. Bliższe krainy składały większe powinowate gałęzie, mające jednakowe bóstwa, świątynie, obrzędy i zwyczaje; dalsze krainy różniły się rozmaitością odcieni jednego w istocie obyczaju. Liczono do pięćdziesięciu takich różnych krain i ludów między samą Elbą a Odrą.

W północno-zachodnim kącie tej obszernej dziedziny, daleko za Berlinem, w głębi dzisiejszych Niemiec, rozciągała się wzdłuż rzeki Wranawy takaż lechicka kraina Wrańców czyli Warnawów. Jak lud Wrańców był twardy i bitny, tak też ziemia jego była nieozdobna, jałowa. Blizki Bałtyk uścielił ją zdawna piaskami; zdaleka szarzały jakieś graniczne pasma leśne, lecz na samej dolinie tylko wybrzeża rzeki i sterczące gdzieniegdzie wzgórza zieleniały gajami. W zaroślach nadbrzeżnych ciągnęły się osady a właściwie tylko długim łańcuchem rozpostarte zagrody samotnicze; wzgórzyste gaje były po większej części poświęcone bogom, mianowicie głównemu stron tych bóstwu, Radegastowi.

Ludna, gwarna, brzmiąca śpiewami i tysiącznemi odgłosy w czasach pokoju, we dnie obrzędów świątecznych albo zborów gromadnych, była teraz słowiańska kraina nasza pusta i cicha. Wszelka ludność męzka wyruszyła w dal na wyprawę wojenną, niewiasty strzegły zagród domowych w cieniu leśnym nad rzeką, nadto skwarna głusza południa, odejmująca krainie jedynego ruchu i gwaru ptactwa, uzupełniała jej posępną samotność.

W takiej chwili powszechnego spokoju, z jednej z zagród nadrzecznych szła leciwa już niewiasta ku pobliskiemu wzgórzu. Prosta, wszystkim stanom zarówna odzież owego czasu, taż sama co dziś zawojka na głowie, taż sama bramowana sukmanka, toż samo barwiste obówie, nie podnosiły zewnętrznym przepychem jej powagi, ale ślady głębokich, mężnie znoszonych cierpień na pięknej niegdyś twarzy, przy gorejącym wciąż jeszcze ogniu czarnych słowiańskich oczu, zwiastowały w niej kobietę odznaczoną boleśnemi walkami z losem, a temsamem i wyższością swojego stopnia w społeczeństwie, zwykle najczęściej na takie walki narażaną.

W pośrodku niewielkiego gaju, stał dąb rozłożysty, ustrojony dokoła wieńcami z polnych kwiatów, spinającemi się od gałęzi do gałęzi. U stóp starego praojca całego gaju wytryskało czyste źródełko, toczące się wesoło ku skrytemu pomiędzy zaroślami jeziorku. Byłto dąb święty i święte źródło, wróżebne miejsce dla okolicznych osad. Czysta lub mętna niekiedy fala źródła, sposób płynienia rzuconych w nie ziół i kwiatów, śpiew tego lub innego ptaka w liściach dębu, rozmaity szum liści i skrzyp gałęzi w wietrze, bywały pomyślnym lub niepomyślnym wyrokiem wróżby.

Ale nasza niewiasta nie przyszła tu z zapytaniem wyroczni. Padła na twarz w cieniu świętego drzewa i kilka chwil w gorącej snać modlitwie strawiwszy, postąpiła głębiej w pośrodek gaju. Dopiero w najskrytszym jego zakątku, gdzie u spodu wysokiego paprociowego krzewu kilka jakby przypadkowie zgarnionych rosoch liścistą kupką sterczało, stanęła, rozsunęła gałęzie i odsłoniła sobie ten otwór do podziemnej kryjówki, dość przestronnej, aby się nią w głąb ziemi zapuścić można.

Przyklękła, nadstawiła chciwie ucha ku otworowi, a potem oglądnąwszy się bystrem okiem w około, wsunęła się na klęczkach w kryjówkę. Im głębiej w ziemię, tem otworzystszą stawała się jaskinia; tajemnicza wędrowczyni mogła się wkrótce cokolwiek wyprostować, a wreszcie spuściwszy się jeszcze kilka kroków niżej, stanęła u wnijścia dość obszernej pieczary. Blada struga światła, szarzejąca z otworu, nie dozwalała rozróżnić dokładnie całej przestrzeni podziemnej, lecz niewiasta nasza była znać dobrze z nią obeznana, gdyż zmierzała na pewno ku jej węgłowi, zkąd jakiś cichy słyszeć się dawał oddech. Nieznajoma pospie-

szyła ku niemu i z skwapliwszem i namiętniejszem uczuciem niż u stóp dębu świętego, przychyliła twarz ku ziemi, ponad dwoje, na mszystem zielonem łożu spoczywających dzieci. Byłto mały siedmioletni chłopczyna i drobniejsza nieco siostrzyczka. Spali snem południowym, bezpieczni w głębi pieczary jak dwoje w cieniu gałęzi ukrytych ptaków. Matka przyklęknęła nad dziećmi, wyjęła z zanadrza przyniesiony z sobą węzełek z żywnością dla nich i odgarnąwszy im włosy z czoła, wpatrzyła się po lekkim powitalnym całunku, długim w senne ich lica wzrokiem. Najprzód jaśniała w tym wzroku radość macierzyńskiej miłości na widok opuszczonych przez jakkolwiek krótki czas dzieci; nieznacznie jednak wyraz radości zasępił się żalem, litością, a wreszcie sponurzał smutkiem i zaśklił się łzami wrzącego wewnątrz bolu.

„Przeklęci Niemcy! Przeklęty Gero!“

Były to jedyne słowa nieskończonej boleści matki. Bo też w tych słowach zawierała się cała treść, cała gorycz jej życia. „Niemcy — Gero“ oto żądło, które przebodło na wskróś jej duszę i dozgonną jątrzyło ją raną. A z nią i lud jej cały zakrwawił się od tego żądła i cierpiał jej cierpieniem.

Była jeszcze młodą gdy przyszła ta boleść na nią. Była młodą, ale świadomą juz szczęścia swojej młodości i swobody swojego ludu. Wesoła beztroska jej młodość zdała się tylko jednem śmiejącem się promieniem tego wielkiego światła, jakiem wolność całemu plemieniu jej przyświecała. Już wprawdzie od dawniejszego czasu przemykały chmura po chmurze na tych jasnych niebiosach, lecz żadna jeszcze nie zaćmiła ich spełna. Wkońcu przecież zwaliła się groźna tucza — Niemcy, „a bylito Niemcy sascy“ prawi owczesna piosnka, wpadli pod wodzą swego nowego króla Henryka najezdniczym tłumem do ziemi zaelbiańskiej, popustoszyli osady, pobudowali sobie drewniane zamki wzdłuż granic, i osadzili w nich żelazem odziane tłuszcze, zgraje zbójeckie, mające swobodny lud słowiański coraz srożej gnębić i ujarzmiać. Na czele ich stanął hersztem margrabia Gero. Młody, bez domu i sławy w własnej ojczyźnie, a dyszący chciwie za łupem i imieniem rycerskiem, uważał on nadane sobie wodzostwo nad pogranicznemi zamkami słowiańskiemi za pole świetnych zaborów, za stopień do najwyższej potęgi. Cała Słowiańszczyzna, ze swemi tysiącznemi ludami i krainami, o nieznanych wcale od wschodu krańcach, rozlegała się przed okiem Niemca jakby świat nowy, podobny owemu później odkrytemu światu indyjskiej Ameryki, na którego podbicie tyle podobnież chciwych i srogich spieszyło awanturników. A podbicie „barbarzyństwa“ słowiańskiego zdawało się tem snadniejsze, iż Słowianie na duchu i na ciele w porównaniu z swojemi zaborczemi sąsiady istnemi byli dziećmi. Jak nagie ich ciało, zaledwie lekką osłonione tarczą, szło w nierówną walkę z ciałem niemieckiem, od stóp do głowy w żelazo przyodzianem, tak też i dusza słowiańska zdała się wcale bezbronną w porównaniu z tym fanatyzmem religijnym, który jakby żelazną zbroją umysł Niemców przeciw pogańskim Słowianom hartował. Nadto jeszcze znajdował zaborca niemiecki pomoc i przymierze u zdrajczych książąt słowiańskich, którzy dla utrzymania swego rzadko gdzie przez gminowładne ludy słowiańskie cierpianego panowania w ojczyźnie, nie wahali się poddać ojczyznę zwierzchnictwu potężniejszych najezdców, byle sobie samym władzę w domu zachować.

Jednym z takich zdrajców był braniborski książę Tugomir, panujący w okolicach dzisiejszej stolicy pruskiej. W łaskach u króla niemieckiego, w przyjaźni z margrabią, uchodził on zrazu u swoich za zręcznego obrońcę swobód ojczystych, dla których ta pozorna przyjaźń z Niemcami chytrą tylko miała być tarczą. W końcu jednakże poznano się na właściwych jego widokach, podniesiono bunt przeciw niemu i wygnano go do jego przyjaciół Niemców. Około tegoż samego czasu zabrał się król niemiecki do dalszego rozprzestrzeniania Niemiec ku zachodowi i południowi, a udanie się jego w tamte strony, wraz z rozbudzeniem ducha słowiańskiego przez wygnanie zdradnego Tugomira, podało myśl raźnego oparcia się grożącemu od Niemców niebezpieczeństwu niewoli. Wszystkie małe ludy lechickie gotowały sią do uderzenia na pograniczne zamki niemieckie, do powszechnego boju z najezdnikami. Już dzielny, najdalej ku północnemu zachodowi osiadły lud Obotrytów rozpoczął tę walkę napadem na poblizkiego margrabię Hajka, zabiciem jego i towarzyszącej mu drużyny, wreszcie powołaniem odleglejszych plemion pobratnich do spólnego działania.

Margrabia Gero, przesiadujący w swoim nadelbiańskim grodzie stołecznym, w Dziewinie, po niemiecku Magdeburg przezwanym, ujrzał się w srogiem niebezpieczeństwie. Zaskoczyło go ono tem trwożniej, im ponętniejsze właśnie zamysły przy zbiegu pomyślnych okoliczności snuły mu się po głowie. Nieprzejrzane krainy słowiańskie łudziły tak powabnym widokiem chciwe oko margrabi, zawojowanie ich zdawało się tak łatwem, zwrócenie się samegóż króla niemieckiego ku innym granicom państwa dozwalało margrabi tem większego samowładztwa na granicy słowiańskiej, może nawet kiedyś udzielnego w tych stronach panowania — wtem obudzający się w ludach słowiańskich zamiar powstania zagroził zniweczeniem tych pięknych nadziei. Należało więc zapobiedz niebezpieczeństwu, to jest, zamysł zbójeckiego ujarzmienia cudzej swobody coprędzej morderczym poprzeć czynem.

Śród słowiańskich przygotowań do powstania rozłał Gero po wszystkich słowiańskich ludach wiestników z zaproszeniem ich książąt na wielką ucztę, do Magdeburga. Miano tam właśnie obchodzić uroczystość św. Maurycego, patrona margrabskiej stolicy, przy którejto sposobności chciał Gero według wyrażenia się zaprosin, zapoznać książęta słowiańskie z świetnością nabożeństwa chrześciańskiego i zawiązać ściślej węzeł przyjaźni z nimi. Książęta uśmiechnęli się chytrze na te oświadczenia niemieckie, i nie chcąc nieprzyjęciem zaprosin obudzać nieufności i podejrzenia, zjechali na dzień przeznaczony. Było ich przeszło trzydziestu — Mieczysław oborycki, Nakon wagirski, Mściwoj ze Starogrodu, Luba z za rzeki Pieny, Gostomysł z ziemi wołyńskiej, Dobromir z krainy syrbskiej, Czedrag z nad Hawoły. Zpomiędzy reszty odznaczał się najbardziej młody książę Wrańców Milgost, synowiec wygnanego Tugomira, zawołany wojownik, główny wróg Niemców. Chowając się za młodu przy swoim stryju Tugomirze, nie mógł on znieść widoku jego pobłażliwości dla nieprzyjaciół ojczystych, i nie mając

własnego domu, bo wcześnie osierocony, uciekł na morze, gdzie z gronem wiernych przyjaciół, na małych łodziach słowiańskich napadał niemieckie statki i plądrował nadbrzeżne sioła niemieckie. Po kilku latach takiej morskiej wojaczki zawinął wreszcie Milgost na wyspie słowiańskiej Rugii, i poślubił tam córkę książęcia Płusy, Sławinę. Wreszcie wsławiony jako bohater i wsparty pomocą swego teścia, wrócił do ojczystej krainy wrańskiej, aby tam wkrótce rządy nad ludem objąć.

Przybyłych gości słowiańskich przyjął Gero z pańską łaskawością. Dano im miejsce przy nabożeństwie, które sam biskup magdeburski z mnogiem odprawił duchowieństwem. Był to pierwszy biskup na ziemi nadelbiańskiej, większy dla Słowian postrach od samegoż margrabi, gdyż założenie katedry biskupiej oznaczało zawsze ostateczne podbicie pewnej pogańskiej krainy, ostateczną niewolę. Z trwogą też i nieufnością przypatrywali się książęta chrześciańskim obrzędom, śpiewnym w okołu grobu św. Maurycego procesyom, które się im tem wstrętniejsze wydały, iż nagle śród grona orszaku pobożnych chrześcian postrzegli swojego ziomka, wygnanego przed niedawnym czasem Tugomira z Braniboru, niosącego z skruszonem obliczem, jak reszta Niemców, jarzącą w ręku świecę. Przyjął on więc jawnie nową wiarę, i do dawnej przewiny względem obyczajów ojczystych dodał nową, najcięższą, zdradę na własnych bogach.

Po nabożeństwie nastąpiła biesiada. W dużej sali drewnianego zamku stały dwa stoły nakryte, jeden mniejszy, w głębi sali, na podwyższeniu; drugi wielki, bliżej drzwi, na cienkich, niziutkich nogach. Przy tamtym zasiedli margrabia, biskup i Tugumir, przy tym, bez stołków, po ówczesnem zwyczaju, niedozwalającym przy chrześciańskiej uczcie zasiąść poganinowi na krześle, przy spólnym stole, książęta słowiańscy na gołej ziemi. Przy tamtym stole usługiwali bezbronni giermkowie, słowiańskim książętom podawała strawę i trunki prosta gawiedź żołnierska, zbrojna od stóp do głowy.

Ta obyczajowa zniewaga i widok zdrajczego Tugomira zachmurzyły lica słowiańskim gościom. Dopiero liczne czary miodu, rzęsiście przez zgraję służalczą dolewanego, ożywiły umysł i usta. Sam margrabia zachęcał gościnnie do wesołości. Wrodzona dobroduszność słowiańska przemogła sztuczne względy niechęci; rozochocono się jakby w serdecznem domowem kole. Coraz liczniej przybywało dzbanów z słodkiem napojem i drabów posługujących; coraz gwarniej wrzała biesiada.

Wtem ozwie się dumny swojem miejscem Tugomir od chrześciańskiego stołu do książąt: „Cóż, nie słodkiż trunek niemiecki? Jeszcze słodsza przyjaźń niemiecka! Gdybyście nie byli ślepcami, zasiedlibyście z nami społem, i nieleżeli tam na ziemi pokotem, jak psy!“

„Milcz zdrajco!“ zawołał Milgost z pomiędzy książąt zrywając się z ziemi i chcąc się przedrzeć do Tugomira — „Niebawem przyjdzie tobie samemu leżeć bez tchu z Niemcami, jak psu zdechłemu!

Na to porwał się margraf z dobytym mieczem i krzyknął do biskupa: „Slyszysz; Niewyjawiłże głośnie buntu?“ Niechże bunt mają!“ Poczem zwrócił się okiem i mieczem do zbrojnej zgrai, otaczającej książąt: „Chcą nas wymordować, jak margrafa Hajka z drużyną! Sprawmyż im wprzódy ucztę!“

W oka mgnieniu przygotowana uprzednio tłuszcza poskoczyla do dzieła. Każdy jak stał rzucił się na leżącego przed sobą na ziemi Słowianina i utopił mu nóż w piersi. Jednej chwili cała sala zalała się krwią, zabrzmiała śmiertelnem cherczeniem konających. Upojeni zdradnie poddawanym im trunkiem, zaskoczeni z nienacka książęta nie byli w stanie żadnego stawić oporu. Jeden tylko Milgost, zerwawszy się do Tugomira, znalazł się w chwili danego przez Gerona hasła mordu w pośrodku mordujących, którzy głównie leżącemi u stołu gośćmi zajęci, spuścił go w powszechnym szale z oka, i dali mu jednym przebójczym susem wyskoczyć z sali. Rzucił on się w rozpaczy ku komnacie czeladniej, aby służebne drużyny słowiańskie na pomoc lub w zemstę przywołać; ale czuwające w sieni żołdactwo niemieckie, dozwoliło zaledwie jemu samemu ujść z życiem. Rzucił się więc wściekle z sieni na podwórzec zamkowy, z podwórca na miasto, i dzięki snującym się tłumom świątecznym, jako też wkrótce zapadłemu zmrokowi, znikł bez śladu.

Natomiast kto inny pospieszył do orszaków książęcych. Skoro krwawa uczta spełnioną została, zdrajczy wygnaniec braniborski, wierny sprzysiężeniec Niemców w tem piekielnem dziele, obryzgany krwią rodaków, która miała mu być namaszczeniem pożądanej przezeń choćby za pomocą najzajadlejszych wrogów, najsroższych zbrodni, królewskiej w narodzie swoim władzy, pobiegł przepuszczony wolno przez straże do komnaty czeladniej.

„Niemcy nas wyrzynają!“ krzyknął do podpiłej drużyny słowiańskiej. „Książęta wasi we krwi, bez życia! Ja sam jeden umknąłem szęśliwym trafem. Uciekajmy, bo zginiem wszyscy!“ — Nieprzytomna czereda zebrała się w okropnej trwodze. Tugomir wyprowadził ich bez żadnego oporu Niemców — dla nichto bowiem, dla utrwalenia margrabiego i Tugomira służył ten cały podstęp — i środkiem zdumionej gawiedzi miejskiej pierzchnął z drużyną słowiańską z Magdeburga do ziem ojczystych. (D. c. n.)

Wynalazki i ulepszenia.

Jest u nas zadawniałe mniemanie, wyznawane dotychczas z zadziwienia godnym uporem, iż usposobienie naszego słowiańskiego umysłu nie sprzyja czynieniu odkryć i wynalazków potrzebujących głębszego zaciekania i badań naukowych. Virej, ów sławny historyk naturalnych przymiotów rodu ludzkiego, nie wahał się twierdzić, że przywilej pierwszeństwa i zręczności w sztukach mechanicznych, rzemiosłach i kunsztach, należy wyłącznie do narodów romańskich. Historya nawet umiejętności ścisłych i wynalazków zdaje się dowodzić tej prawdy, gdyż na jej kartach zaledwie z kilkoma spotykamy się nazwiskami, których rodowód słowiański żadnej nie ulega wątpliwości. Mimo jednakże owych mniemań i świadectw historyi, my odważylibyśmy się zaprotestować przeciwko takiemu pojmowaniu rzeczy. Nie myślimy przeczyć iż dotychczas bardzo mało uczyniliśmy dla

nauk ścisłych i przemysłu ogólnego; zgadzamy się, że statystyka wynalazków naszego kraju nie może wytrzymać żadnego porównania z krajami Zachodu; lecz nie przeszkadza nam to przeczyć, aby przyczyną tego miała być niezdolność nasza do samodzielnych wynalazków. Inne są tego powody, a ci którzy wyrokują według liczb statystyki, mylą się i uwodzą, liczba tu bowiem nic nie znaczy. Wielkie wynalazki, stanowiące erę dla ludzkości, wszędzie są wyjątkami. Tylko te drobne, ciągłe ulepszenia, udoskonalenia, zastosowania praw nauki do praktyki, stanowią ową potęgę, ów postęp zachodniego przemysłu. Najdrobniejsza myśl, uwaga mało na pozór znacząca, chwytaną jest tam i pielęgnowaną z troskliwością, z zajęciem. U nas działo się dotąd przeciwnie; małe wynalazki i ulepszenia nikogo nie obchodziły; nie pojmowaliśmy ich ważności, a ograniczony ruch przemysłowy, szczupłe pole działania i zastosowania wynalazków było powodem, iż wiele z nich zamierało, dla braku odpowiednich środków rozwinięcia. Dlatego też aby nas zająć, potrzeba było zadziwić. Paradoks prędzej doznawał współczucia i zwracał uwagę, niż najistotniejsza a skromna prawda. Młody nasz umysł szuka w wynalazkach jakiejś cudowności, jakiegoś, że się tak wyrazim, mistycyzmu. Powoli jednak, powoli zmienia się postać rzeczy i u nas, zaczynamy coraz więcej cenić drobne wynalazki i ulepszenia, byleby te odpowiadały istotnym naszym potrzebom, a wtedy nie brak i zainteresowania się w naszej publiczności. Swieżym tego przykładem jest machina do karczowania, wynalazku p. Wagnera z Lublina. Próby z nią odbywane w Łomiankach pod Warszawą, ściągnęły mnóstwo widzów, pragnących uczestniczyć nietylko popisowi, ale upewnić się czy wynalazek rzeczywiście w praktyce da się zastosować. Po naocznem upewnieniu się o tem, po przychylnem odezwaniu się gazet, obywatele posiadacze lasów pilnie się dopytują, gdzie można tej machiny dostać i pod jakiemi warunkami, aby rozpocząć z nią pracę. A jest nad czem chwała Bogu pracować, nieoględne bowiem gospodarstwo leśne w wielu miejscach pozostawiło obszerne przestrzenie zawalone pniakami i korzeniami, a zatem zmienione w nieużytek i luźne pastwisko, co przeszkadza powtórnemu naturalnemu obsianiu się lasu, lub przemienieniu gruntu na pole rodzajne. Kosztowność rudunku była dotąd najważniejszą przyczyną pozostawiania odłogiem znacznych częstokroć przestrzeni. Machina p. Wagnera usuwa tę trudność, prostego bowiem kształtu i konstrukcyi niezłożonej, kosztuje cała 2700 zł. p.; przy użyciu na miejscu wymaga dwóch ludzi i dwóch par wołów, a zdolna jest dziennie wyrwać z korzeniami 30 drzew grubszych nad dwie stopy; do drzew cieńszych używa się jedna para wołów, a do krzaków kilko-calowej średnicy ręka ludzka jest dostateczną. Machiną tą można wyrywać i całkowite drzewa, w miejsce ich wyrębywania, a tym sposobem otrzyma się grunt czysty i przygotowany do dowolnego użycia. Koszta machiny i jej działania sowicie opłaci przybytek kilku łokci drzewa na sztu e, dziś marnowanych przy wyrębywaniu i pozostawianiu pniak w. Opisywać bliżej wynalazku p. Wagnera nie będziemy; próby wyrzekły o jego użyteczności; potrzebującym więc należy udać się do biura warsztatów żeglugi parowej, gdzie te machiny się wyrabiają, lub też do samego wynalazcy (w aptece p. Koppego przy ulicy Nowy świat w Warszawie).

Ponieważ nie zakreśliliśmy sobie żadnego systematu, wolno nam przeto przejść z kraju naszego, znajdującego się na dość niskim szczeblu przemysłowości, do kraju gdzie wynalazki i ulepszenia najszersze znajdują zastosowanie, do Anglii. Tam machina p. Wagnera nie zwróciłaby już niczyjej uwagi, bo i nie ma miejsc któreby karczować trzeba; ale za to niemałego zaciekawienia stał się powodem przyrząd mający na celu ułatwienie przesyłek pocztowych po Londynie, a później może i po całej Anglii. Dla samych doświadczeń nad tym wynalazkiem utworzyła się tam kompania pod tytułem: *Pneumatic Dispath Company*, a na czele jej stoją ks. Buckingham i wielu uczonych angielskich. Oto co w tym względzie pisze nam jeden ze znajomych zamieszkałych w Londynie

„W tych dniach byłem zawezwany dla towarzyszenia pierwszym próbom przesyłania listów i pakunków drogą podziemną, w urządzonych czasowo ku temu rurach. Rura miała długości 450 jardów i leżała częścią pod ziemią, częścią na jej powierzchni. Składała się ona ze stawów żelaznych po 10 stóp wagi jednego tonna, nitowanych ołowiem. Rury te mają kształt półokrągły; w przecięciu zaś dają zarys podkowy. Wysokość ich wewnątrz wynosi 33 cali, a szerokość 30 cali. U dołu na płaszczyźnie stanowiącej podstawę, z obu stron są żelazne wzniesienia, po których chodzą wagony z ciężarami, jak po railsach. Wagony te mają długość ośmiu stóp i są wyrobione z żelaza, o czterech kołach 20 cali średnicy mających; wielkość więc ich jest tak zastosowaną, że ile możności napełniają sobą wnętrze rury, dotykając się ścian jej tylko kołami. Dwa wagony, naładowane workami piasku i kamieniami, wprowadzono w rurę; na dany znak poruszyły się naprzód, a z rury usłyszeliśmy szum podobny do grzmotu. Po 30 sekundach nastąpił odgłos jakby wystrzałowy, oznajmujący, iż ładunek znalazł się na przeciwnym końcu rury; przyczyną huku było zamknięcie rury na przeciwnej stacyi. Kiedy wagony przybyły nazad, korespondent wasz zaproszony został do odbycia podróży, podobnie jak i inne pakunki. Pomieściłem się w wagonie dość wygodnie, razem z drugim jegomością. „Puszczaj!“ zawołał ua robotników dyrektor, i ruszyliśmy w drogę. Oddech nasz nie był tamowanym ani ciężkim, a szum powietrza w blizkości nie jest tak strasznym, jak się wydawał zewnątrz rury. Lekkie ciśnienie na organ słuchu, oto cała nieprzyjemność podróży... Zresztą nie ma się nawet czasu doświadczyć nieprzyjemności, tak szybko staje się u celu. Ruch wagonu początkowo był wolny, następnie zwiększył się, i przejechaliśmy $^1/_4$ mili w 45 sekundach.“

„Zasada tego przyrządu bardzo jest prosta, składa się bowiem z koła obracanego z niezmierną szykkością i wypychającego powietrze. Przy mnie obróciło się ono 180 razy na minutę, lubo obrót może być doprowadzony do 200 razy, bez żadnej zmiany w budowie machiny. Koło główne składa się z trzech cienkich platów metalowych, z których dwa mają po 21 stóp średnicy, a trzeci 17. Największa siła ciśnienia tym przyrządem w mojej przytomności wywarta wynosiła 4 uncye na cal kwadratowy. Szybkość ruchu jaką uzyskać można, dochodzi do 40 mil na godzi-

nę. Co się tyczy podróżowania ludzi tą drogą podziemną, rzecz to niepraktyczna, chyba, że będą urządzone wielkie tunele; ale listy i posylki w ten sposób rozsyłać będą po całym Londynie. Pierwsza rura ma być założoną między główną ekspedycyą poczt, a zachodnim jej kantorem."

Oto są dzieje najświeższego wynalazku angielskiego. Z umyslu postawiliśmy przy sobie dwa fakta, jakiemi są: machina karczunkowa p Wagnera i rury podziemnej ekspedycyi w Londynie, aby pokazać różnicę w kierunku rozwoju wynalazków w naszym ubogim kraju i w Anglii, mistrzyni w sztukach mechanicznych. *T. Il.*

Z Warszawy, w listopadzie.

Egzamina wstępne do szkoły przygotowawczej już się podobno skończyły, i jak słyszeliśmy, przeszło trzechset uczniów poddało się tej próbie, mającej im otworzyć bramy dalszej nauki i prowadzić do słuchania wykładu kursów uniwersyteckich.

Brak szkoły głównej u nas dawał się czuć oddawna. Starsze pokolenie, którego szeregi przerzedzają się z każdym dniem coraz bardziej, nosi na sobie pewną cechę wybitną, jaką na niem wycisnęło wychowanie gruntowniejsze, w dawnym uniwersytecie warszawskim otrzymane. Ich następcy, nietyle szczęśliwi, jeżeli własną pracą nie potrafili lub nie chcieli braku tego wypełnić, wyróżniali się widocznie od tamtego poważnego zastępu.

W trzydziestu ubiegłych latach coraz widoczniej zmniejszało się zamiłowanie w naukach gruntownych i poważnych, a miejsce jego zastępowało powierzchowne, encyklopedyczne wykształcenie, z francuzczyzną na pierwszym planie, obejmujące tylko tyle, ile potrzeba było do przegawędzenia kilku godzin w salonowem towarzystwie. Dopiero od niedawnych czasów nastąpił zbawienny zwrot ku pożyteczniejszej i głębszej pracy. Poważne koła i dzienniki skwapliwie dowodzić zaczęły jej konieczności, a ogół, jak zawsze poczciwy, zachętę tę przyjął przyjaźnie.

Przed parą jeszcze laty, bawiąc w kołach towarzyskich, doświadczało się niezmiernej nudy i ckliwości. O czemże tam rozprawiano? żal się Boże powtórzyć! Jedno grono spierało sią o piruety i wdzięki baletniczek; inne o biegłość modniarek i krawców, lub rozbierało szczególiki ubiorów najświeższej żurnalowej ryciny; tu przechwalano się kto droższe śniadanko wyprawił; owdzie, która z pań kosztowniejsze materye nosi. Pamiętamy, jak z ciekawością odczytywano artykuły Kuryerka, opisującego z wszelką dokładnością suknie dam na balach. Rozprawa toczyła się częściej do francuzku jak po polsku, z tą osobliwszą *prononcyacyą* nadwiślańską, jakiejby nad Sekwaną z pewnością nie zrozumiano. Nowinki, obmowy i skandale miejskie rozchwytywano jak łakocie; one to stanowiły jądro rozmów owych nigdy niezapomnianych *poniedziałków, wtorków, śród, czwartków, piątków i sobót.*

Że panie lubiły rozmawiać o niczem, nie obwiniamy je o to bardzo, bo nie znalazły w mężczyznach zachęty do poważniejszych dysput. A jakże ci panowie przepędzali zebrania towarzyskie? Namiętne zamiłowanie gry w karty, trzymało ich jak zaklętych nad zielonym stolikiem; tu panowało milczenie, przerywane tylko kiedy niekiedy jakiemś technicznem wyrażeniem; jeżeli zaś nie grano w karty, a puszczono się w gawędkę, to jej przedmiot wcale godnym zazdrości nie bywał.

Czasami ktoś ze starych weteranów szkoły krzemienieckiej lub którego z dawnych uniwersytetów, usiłował na przedmiot poważniejszy zwrócić rozmowę; lecz rozprawa tego rodzaju zbyt była niestrawną dla lekkich umysłów ówczesnych. Nie mówimy tu wcale o wszystkich, bo wielu można było naliczyć takich, co cichą i ciągłą pracą usiłowali zastąpić próżnię, jakiej ówczesne wychowanie wypełnićby nie zdołało; mamy tylko na myśli owo nagle dziś jakby w ziemię zapadłe plemię dandysów i lewków warszawskich, wiecznie nic nie robiących, pasożytów zatruwających soki społeczeństwa, ludzi, których ideałem były wieczorki hulaszcze, marnujące czas, zdrowie, zdolności i pieniądze.

Dawneż to czasy, kiedy żyły pomiędzy nami istoty wynajmujące się za kilka szklanek herbaty i kolacyjkę do froterowania posadzek podczas wieczorków salonowych i sprawujących tę funkcyą bez rumieńca wstydu na twarzy, jakby najpożyteczniejszą pracę dla społeczeństwa odbywali; zalegających kawiarnie, krążących hukliwie wieczorami po chodnikach, tak iż tamtędy żadna uczciwa kobieta przejść nie mogła, aby się nie narazić na zniewagę? Horda ta przycupnęła dziś na chwilę, czekając sposobności, aby znów dawne rozpocząć praktyki i znowu wstydem rodzinne okrywać miasta.

Zkąd wyrosła na naszym bruku ta nikczemna klasa społeczeństwa? Zkąd się wzięły te amfibie, niewiadomo do jakiej rasy stworzeń bożych policzyć się mogące? Czyż nie z braku gruntownego wykształcenia serca i rozumu?

Otoż aby ją zupełnie i bezpowrotnie wytępić, potrzeba stanowczo ją odepchnąć i okryć wzgardą. Panie nasze wiele w tym względzie uczynić mogą, od nich główny wyrok i kara wyjść może.

Ludzie szanowni, mający w swem kółku poważanie i wiarę, powinni przedstawić wzrastającemu pokoleniu całą obrzydliwość owej bezdusznej i próżniaczej zgrai a zachęcać go, aby od młodości brało życie na seryo, aby ceniło każdą drogą godzinę szybko ubiegającego czasu, aby obierało wcześnie zawód, w jakim pragnie służyć krajowi.

Niech młódź ucząca się, pojrzawszy na owe fantomy przeszłości weźmie sobie za punkt honoru stanąć na przeciwległym biegunie tych arlekinów salonowych; niech całemi siłami uchwyci się nauki, bo tylko człowiek z pochodnią prawdy i rozumu a czystem sercem, godzien i może służyć swemu narodowi i być jego podporą i zaszczytem.

Nauka lekko nie przyjdzie. Nie dosyć jest uczęszczać pilnie na prelekcye i słuchać słowa płynącego z katedry, chociażby też z ust najzdolniejszych. Chcąc pożytek rzeczywisty otrzymać, potrzeba aby słowo to oblekło się w ciało; chcąc nagromadzić skarby, któreby nie tylko na własne potrzeby, ale i ku zasileniu drugich starczyły, należy skupić całą siłę ducha, własną pracą przetrawić to co niesie żywa nauka lub martwa księga, poświęcić jej kilka lat młodzieńczego zapału i siły. Na tej pięknej drodze słaby tylko, zrażony trudem, upaść może, ale umysł silny zatrwożyć się nie da i z tym większym zapałem naprzód podąży.

Wiemy o tem, że nie wszystkim przeznaczono być uczonymi, że sama nauka społeczeństwa nie zbawi; wszelako nikomu nie wolno być nieukiem, komu tylko los dozwolił czerpać w skarbnicach wiedzy. Nie godzi się zaniedbywać niczego, Co nas podnieść i wyżej postawić może. Wołając o oświatę ludu nic nie umiejącego, i my spieszmy się również z nim naprzód, my, którzy sądzimy, że umiemy cośkolwiek.

Te półśrodki i półświatła, które nas w minionych latach wiodły po drodze życia, są główną przyczyną owego braku zdania wytrawnego w każdej niemal sprawie, owej nieuleczonej chwiejności jaka nas cechuje. Zimniej podane słowo, choć zacne i pełne prawdy, ma u nas mniej wpływu aniżeli krzykactwo.

Wprawna frazeologia, rozprawiająca z dwóch stron naraz z równą zręcznością o jednym przedmiocie, stawia nas w tem położeniu, że jesteśmy jak wędrowiec na rozstajnych drogach, niewiedzący, którą iść mu należy.

Weźmy na przykład piśmiennictwo. Ilużto jest co wynoszą jakiegoś pisarza pod niebiosa, lecz gdy im kto, byle śmiało a zuchwale powie że ten pisarz nic niewart, choćby to był sam Mickiewicz, zachwieją się, niezdolni odeprzeć zarzutu.

Z takiego to półśrodkowego kształcenia się wyrastają pół-mędrkowie, pół-poeci, pół-filozofowie, którzy widząc że i niwa literacka nie jest zbyt niewdzięczną, chwytają się do jej uprawy i zasiewają ziarnem, nie bacząc jakiem, byle tylko plon zebrać.

Chwyciwszy się zawodu piśmienniczego jak zwykłego rzemiosła, płyną nim lekko po wierzchu. Nie posiadając sami wiadomości gruntownych, usiłują bawić tylko czytelników dowcipem i wmówić w nich, że nauki poważniejsze całkiem są nie potrzebne, że zabijają talent i twórczość. Wiedzą, że ogół naszych czytelników łatwo zachwycić powierzchownemi przymiotami stylu; ubóstwo więc myśli i brak podstawy zacnej a niewzruszonej, zastępują szumnemi frazesami, ja

skrawością barw, wrzaskliwością i zuchwalstwem; ale napróżnobyś tam szukał sumiennego sądu i głębokiej prawdy, gdzie niema prawdziwego światła nauki i czystości serca.

Otóż w przyszłości od takich korsarskich wycieczek na umysły i kieszenie publiczności, jedynie zbawić nas może zmiana wychowania, gruntowna nauka. Kto pragnie naród oświecać i doń przemawiać, niechaj wprzód długo pracuje. Posiadający sam wiedzę, potrafi jej drugim udzielić idąc drogą prostą i ubitą, nie poprowadzi innych na manowce i nieodważy się tumanami wyziewów niedowarzonego umysłu zasłaniać innym światła, wiedząc, że czasy łamanych sztuk bezpowrotnie minęły, że ogół wykształcony ze wzgardą odepchnie lekkie i liche ziarno, bo może mieć czyste i pożywne.

W tych dniach kończy się przebudowanie dwóch oficyn, a raczej dwóch bocznych gmachów kaźmirowskiego pałacu. W skutku tej odnowy nadano rzeczonym gmachom ten sam styl, w jakim główny budynek był wystawiony, a pośpiech w dokonaniu przekształcenia, jakoteż staranne wykonanie przedsięwziętych robót, winni jesteśmy budowniczemu panu Sulimowskiemu, pod którego zarządem fabrykę prowadził p. Waligórski, majster murarski z Krakowa. Przyozdobienie frontonów wykonał p. F. Marconi sztukator. Cały gmach nabrał tym sposobem jednolitości.

Różne koleje przechodził pałac kaźmirowski, zanim przeznaczono go na pomieszczenie książnicy i szkół publicznych. Niegdyś w tem miejscu, w czasach gdy Warszawa zostawała pod zarządem książąt mazowieckich, był pałac ich letni, na gruntach wsi Kałeczyn wystawiony; kiedy zaś Zygmunt III. Warszawę na stolicę rzeczypospolitej przeznaczył, stały tu stajnie królewskie. Dopiero Anna, siostra tego monarchy, otrzymawszy pozwolenie od brata, wybudowała tu dwór i przekazała go po swej śmierci synowcowi Władysławowi. Królewicz dawny dwór zburzył, a na miejscu jego wystawił w r. 1635 pałac drewniany. Jan Kaźmirz wzniósł gmach murowany i ten od imienia króla otrzymał nazwę dzisiejszą. Po śmierci Kaźmirza dłużnicy królewscy pałac zajęli; wszelako Jan III, zaspokoiwszy ich pretensye, pałac kaźmirowski wziął na własność. Konstanty królewicz darował go Augustowi II, minister zaś Sułkowski otrzymał go również darem od jego następcy. Nie długo wszelako gmach ów zostawał w rodzinie Sułkowskich, bo w r. 1765 Stanisław August odkupiwszy pałac, przeznaczył go na pomieszczenie korpusu kadetów, którzy mieścili się tu przez lat trzydzieści. Gmach od tej chwili przybrał nazwisko koszar kadeckich, i skarb publiczny od króla zakupił go na własność. Od roku dopiero 1815 przeznaczono pałac kaźmirowski na instytuta naukowe.

Położenie jego wybornie do celu tego przypada. Pomieszczony w samym środku miasta, dogodnie dla uczęszczającej młodzieży, niewystawiony jest przecież na gwar uliczny; otoczenie ogrodami na krańcu wzgórza zapewnia przypływ ciągły świeżego, zdrowego powietrza, i gdyby nie sąsiedztwo szpitala św. Rocha, nieby do życzenia nie zostawało pod względem wybrania miejsca na zakład naukowy. Już to Warszawę dotyka jakiś fatalizm co do wyboru miejsc na szpitale. Rzecz niesłychana, ażeby w mieście ludnem mieszczono szpitale z ich niezdrowemi wyziewami w samem ognisku ruchu. Tymczasem Warszawa posiadała już dwa: jeden św. Rocha, w najniestosowniejszem miejscu, bo w najludniejszem i najhałaśliwszem; drugi szpital dzieciątka Jezus, stojący niegdyś śród rozrzuconych dworków, ale dziś także już położony wśród miasta. Do tych ostatniemi czasy przybył jeszcze trzeci, szpital św. Ducha, w ulicy jasnej, hałaśliwej i zewsząd otoczonej domami. Żadnego tu względu niema ani na wygody chorych i zapewnienie im cichego, a zdrowem powietrzem zaopatrzonego przytułku w cierpieniach, ani na publiczność, na którą wyziewy szpitalne pod względem zdrowia zgubny bardzo wpływ mieć mogą.

Wychodzące pisma dla ludu coraz więcej zyskują czytelników Jako fakt zasługujący na uwagę podajemy tu wiadomość, iż jeden z obywateli obwodu kieleckiego zaprenumerował siedm egzemplarzy Kmiotka, dla karczem we wsiach: Piotrkowice, Piekuszów, Mniów, Ruda maliniecka, Strupice, Kasznice i Mnichów, rozporządziwszy, aby w każdej jeden z tych numerów leżał na stole gościnnym, pod odpowiedzialnością karczmarza; jest bowiem przekonanym, iż lud najchętniej czytać tam będzie i zawsze znajdzie się jaki piśmienny, który je ciekawym gościom odczyta, gdy tymczasem niezmiernie trudno zwabić włościan do dworu, aby czytania posłuchali. Przykład to godzien naśladowania tam zwłaszcza, gdzie stosunki pomiędzy dziedzicami i włościanami nie opierają się jeszcze na wzajemnej ufności.

T. Jl.

Rozmaitości.

Z Warszawy. Przygotowania do wydawnictwa *Biblioteki technicznej dla rzemieślników polskich* postępują ciągle. Bardzo radzi jesteśmy tej publikacyi, do szczegółowych bowiem korzyści jakie z niej odniosą rzemiosła i ta ważna przybywa, iż za pośrednictwem tej biblioteki ustali się u nas *wyrazownictwo* (*nomenklatura*) rzemiosł pojedyńczych. Wiadomo, że wszystkie narzędzia rękodzielnicze mają po większej części nazwiska niemieckie; oprócz siekiery, piły, świdra, same tam cudzoziemskie nazwy. Czesi otrząsnęli się już z tej obczyzny; tam żaden uczeń nie zostanie czeladnikiem, dopóki jaknajdokładniej nie pozna wszystkich nazwisk narzędzi w języku ojczystym. Język nasz wcale nie jest uboższym od czeskiego, a jeżeli nas pobratymcy na tej pięknej wyprzedzili drodze, to stoi ona otworem i możemy ich jeszcze doścignąć.

Czytelnia dla ubogich. Wiadomo, że istnieją w Warszawie dwie czytelnie dla ubogich, które każdy z księgarzy warszawskich bezpłatnie i obficie zasilił. Czasami także zgłaszają się do nich założyciele czytelń po miastach prowincyonalnych, a i ci podobnież nigdy na próżno nie wołają. Nie dość na tem: na Szlązku w Cieszynie otworzono czytelnię, za pozwoleniem rządu, dla ubogich mieszkańców. Założyciele prosili księgarzy warszawskich o jej zasilenie, a ci w tydzień później wysłali różnych dzieł naukowych, elementarnych, moralnych, religijnych i powieściowych przeszło za 3.000 złp. Czyn ten godny naśladowania.

O książkach elementarnych dla młodzieży. Gdy organizacya oświecenia publicznego ulegnie zmianie, otworzy się także na tej drodze obszerne pole dla pracy poważniejszej, to jest wypracowanie książek elementarnych dla młodzieży wszelkiego rodzaju szkół. Dziś jesteśmy w nie bardzo ubodzy; nie mamy mianowicie żadnej porządnej historyi powszechnej dla szkół; nie mamy nauki stylu polskiego (bo za taką dzieła doktora Rymarkiewicza *Nauka prozy* uważać nie można); nie mamy dzieła podręcznego do wykładu zasad literatury polskiej. Dziełko Lesława Łukaszewicza: *Rys piśmiennictwa polskiego*, pomimo ciągłych przerabiań i poprawek, nie jest na ten cel, dla swej szczupłości, odpowiedniem. Chyba jedna tylko historya literatury J. Bartoszewicza byłaby w tej mierze odpowiednią, gdyby szanowny autor, w spodziewanem drugiem wydaniu tego dzieła, chciał cośkolwiek ze swego ustąpić, i tym sposobem pogodzić krytyków i publiczność ze swą książką

Otwiera się więc, jak powiadamy, obszerne pole do olbrzymiej pracy. Jeżeli u nas sił ku podołaniu jej za mało, to możnaby zaprosić do niej uczonych rodaków za granicami królestwa polskiego przebywających, ogłosić konkursa, premia i akcessity, tak jak to Czechy robią, a skutek będzie niezawodny.

Żądać poświęcenia czasu i pracy za darmo, niepodobna, bo każdy musi być wynagrodzonym za nie; zachęty zaś podobne mogą wydrzeć z ukrycia niejedno pióro ciche, skromne i pożyteczne, które dotąd nie miało dla siebie pola popisu, przy gonieniu publiczności czytającej za lekką strawą umysłową, a nie za korzyścią prawdziwą. A zyskaliby na tem nietylko uczniowie, ale i ci, którzy pomimo chęci do nauki, przy niedostateczności dotychczasowej instrukcyi, uczyli się niby czegóś, a w rzeczy samej nic lub bardzo mało co umieją.

Dawniej książki elementarne pisał ten, któremu kazano je napisać, wedle modły naprzód wskazanej, i dlatego to taki brak w tym zakresie piśmiennictwa naszego panuje. Za ogłoszeniem premiów obudzi się ruch i życie, konkurencya zaś wywoła wielu współzapaśników, zwłaszcza, gdy bez wyjątku wszyscy piszący po polsku, gdziekolwiekbądź mieszkają, do wzięcia udziału przypuszczeni będą.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Karol Cieszewski. W drukarni Kornela Pillera.